

OPIEKUN POLSKICH DZIECI.

Trzeba będzie ważyć, służyć,
Milczeć, cierpieć i wojować!
I nie jedno miłe zburzyć
A inaczej odbudować....

Kto tam zgadnie, gdzie osiędziesz,
Jaką wodą w świat popłyniesz,
W której stronie walczyć będziesz,
I od czyjej broni zginiesz?

Wyleć ptakiem z tego gniazda,
Miłać będzie taka jazda,
Spojrzeć z góry na twą ziemię,
I rodzinne twoje plemię....

Nr. Lwów dnia 5. czerwca 1869. **16.**

Trzeci Maj....

(Dokończenie.)

Boże daj — Boże daj,
By zabłysnął Trzeci Maj...!

Nadszedł nareszcie uroczysty dzień 3go maja r. 1791, w którym miano ogłosić narodowi konstytucyę.

Ze wszech stron Rzeczypospolitej ściągnęło się mnóstwo ludu na uczczenie tej uroczystości. Zamek królewski zaległy roje zbrojnej szlachty, cechy warszawskie z chorągwiami, wysłańcy szlachty wszystkich województw; deputacye miast zapełniły ganki i przedsionki.

Zasiedli senatorowie i posłowie, odczytano konstytucyę, i podano królowi ewanielię, na którą zaprzysiągł uroczyście ściśle dotrzymanie nowej ustawy.

Nową konstytucyę przyjmowano w kraju z wielką radością, oświecając miasta, odprawiając dziękczynne nabożeństwa i świetne wydając bale, a wielu panów, chcąc dać dowód, iż nie gardzą stanem mieszczańskim, zapisywało się do mieszczan. Dla kmiotków nie zrobiono jeszcze tą konstytucyą niczego prawie, lecz była nadzieja, że z czasem byliby doznali lepszego losu.

Wszystko to dobre, które prawi obywatele zamierzali zdziałać dla kraju zaprowadzeniem konstytucyi, było solą w oku dumnym panom, których to niezmiernie gniewało, iż przewaga ich w obec rządu złamana została nowemi prawami, albowiem konstytucya, pobratawszy stan miejski z szlachtą, stworzyła była silną podstawę, na której opierając się, mógł król tamę położyć swawolnym ich zachciankom.

Najbardziej zaś gniewało ich to, iż na mocy tej ustawy przestawał król być obieralnym, albowiem dla zapobieżenia klęskom, które na kraj sprowadzały knowania panów przy elekcyach, zaprowadzono tron dziedziczny, t. j. postanowiono, aby syn po ojcu następował.

Jakoż niepomni obowiązków prawego Polaka, niedbali o łzy i klątwę Ojczyzny, udali się piekielnej pamięci Szczęsny Rzewuski i Ksawery Branicki do carycy Katarzyny wystawiając jej, jak niebezpieczną może stać się dla Moskwy ta konstytucya, i błagając ją o pomoc na wywrócenie nowego porządku rzeczy.

Zrozumiecie łatwo, kochane dziatki, że nikt nie był więcej rad temu, jak caryca, która nie chciała Polski silnej i wolnej; to też skoro niecni ci zdrajcy, niby obstając za starą szlachecką wolnością, przeklętej pamięci konfederacyę w Targowicy (r. 1792) zawiązali, natychmiast wkroczyło do Polski 100.000 moskiewskiego wojska, które zajęło zaraz całą Ukrainę i Litwę.

Prusy i Anglia, które, jakem wam to wyżej powiedział, sprzyjały początkowo Polakom, zwinęły chorągiewkę i odpowiedziały na wezwanie króla, że żadnej nie mogą dać pomocy.

Trzeba więc było rachować na własne siły, lecz i te byłyby były wystarczyły, gdyby król stanął był na ich czele, gdyby był wezwał cały naród do obrony. Zamiar ten powziął był Stanisław August rzeczywiście, ale ledwo wyjechał był na Pragę, przedmieście Warszawy, gdy kobiety obskoczyły go i zaczęły prosić, aby się nie narażał, i zniewoliły go do powrotu, bo król mając serce zajęcze wolał usłuchać babskiej rady, niżli głosu Ojczyzny.

Tak więc broniło granic tylko 50.000 polskiego żołnierza pod dowództwem synowca królewskiego, ks. Józefa Poniatowskiego, opierając się dzielnie dwakroć liczniejszemu wrogowi.

Ale chwiejny król zwątpił już był o wszystkiem, i kazał ks. Józefowi cofnąć się z Ukrainy i Wołynia ku Bugowi, mimo świetnego zwycięztwa pod Dubienką, które odniósł jenerał Tadeusz Kościuszko.

Pod zasłoną moskiewskich bagnetów rozgospodarowali się Targowiczanie, przymuszając szlachtę do przystąpienia do ich ohydnego związku, zabierając dobra tym, co się im opierali, i wysyłając na Sybir i do Kamczatki zwolenników konstytucyi.

Złamany temi gwałtami do szczętu wysłał małoduszny król do carycy list bardzo pokorny, ale ta odpowiedziała, że ani go uzna, ani z nim mówić nie chce, dopóki nie przystąpi do Targowickiej konfederacyi, — co też król mimo próźb i błagań zacniejszych z swych doradzców uczynił, wydając równocześnie rozkaz do wojska, aby z Moskalami wojny zaprzestali.

Teraz dopiero poczęli Targowiczanie gospodarować po kraju wspólnie z wrogami, poczciwi zaś Polacy opuszczali z rozpaczą w sercu Ojczyznę, uciekając przed ich prześladowaniem za granicę.

Niby na ukaranie Polaków za to, iż konstytucyę uchwalili, zajęli Moskale połowę Małej Polski, część Wołynia i Podola, a chytry król pruski, miasto obiecanej

pomocy, zajął Wielkopolskę i Gdańsk, które to grabieże zatwierdził później sejm zwołany w Grodnie, na którym zaprzedani Moskwie posłowie dobrowolnie, lękliwi zaś pod przemocą moskiewskich bagnetów drugi rozbiór Polski z hańbą swoją podpisali.

Opowiedział Włodzimirz Zagórski.

Z Krakowa do Gdańska Wisłą.

(WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY.)

Opowiedział A. K.

Nasza się Wisła ukochana toczy
Przez kraj pszeniczny, polisty, uroczy,
Z źródeł karpackich coraz szersza bieży,
Unosząc obraz roskosznych wybrzeży.

A nad nią ówdzie wioska się uśmiecha,
Chatka się bieli, pochyla się strzecha,
I ryczy bydło, pomrukują trzody,
Gdy je pastuszki prowadzą do wody...



A nasza Wisła tak spokojna, cicha,
Że jej nie słychać, tak lekko oddycha,
I jakąś ciszą spokojną okola
Nadbrzeżne wioski, pastwiska i pola.

Stare się wierzby nad nią zadumały
O swej starości, o spruchniałej korze,
Ściętych konarach i minionej porze,
Bo one młodość z Wisłą przeigrały.

I do niej jeszcze krzywe, karłowate,
Stroją swe czoła w zieloności szatę.
. . . .
. . . .

Wisło! ty niesiesz na twoim przestworze
Nasze ziarniste, pozłociste zboże,
I cynk srebrzysty, i sól i gips biały,
Wapno i jaja i świeże nabiały.

Niesiesz gdy zechcesz; a gdy nie masz woli,
Próżno berlinka żaglami swawoli,
Lub galar wiosłem twoje fale liznie;
Ty nie chcesz — muszą stanąć na mieliznie.

Ty zechcesz tylko — a widokrąg cały,
Zda się, ucieka i chowa i znika,
I tylko czasem plusną twoje wały
Pletwą szczupaka, wod twych rozbójnika.

. . . .
. . . .
W starem korycie, o rodzinna rzeko,
Niechaj spokojnie twoje nurty cieką!

Niech na twych błoniach, tak pełnych tęsknoty,
Bóg litościwy da urodzaj złoty;
Niech twa Ojczyzna znów wielka zostanie,
Niech raz zabłyśnie wolności zaranie.

Wtedy twe fale pokryją na pręgi
Niosące zboże, ładowne komięgi,
A flis krakowski, twój przyjaciel stary,
Kupi ci suknią za gdańskie talary!

Było to — pamiętam — 3. lipca r. 1856, kiedyśmy z moim młodszym bratem, ja jako słuchacz IV. klasy, on jako słuchacz II. klasy gimnazyalnej, po dobrze odbytych popisach wracali z Rzeszowa do domu na wakacye. — Wesoła to była ta nasza podróż, nie masz bowiem szczęśliwszego wędrowca na świecie, jak student, co do domu wraca premiantem. Ja i brat mój otrzymaliśmy właśnie pierwsze nagrody, — pragnęliśmy też ujrzeć co prędzej rodziców, którecheśmy przez długie cztery miesięcy nie widzieli, i pochwalić się przed nimi i przed siostrzyczką naszą Helunią naszemi świadectwami.

Do domu było tylko sześć mil i kawałek, jak mówił stary nasz karbowy Jacenty, co po nas przyjechał. Dzień był dobrym do podróży, bo chłodny wiaterek od Karpat zawiewał, konie szły rączo parskając co chwila, co chwila palił Jacek po krakowsku wesoło, i sześć mil uleciało nam szybko, tylko ten nieszczęśliwy kawałek starego Jacentego dał się nam porządnie we znaki. Co raz to nowe mijaliśmy wioski, co raz to nowe karczemki, i mosty, i laski i piaski, a tego kawałka nie ubywało ani trocha. Co chwila pytaliśmy: Daleko jeszcze, Jacusiu? a Jacuś ciągle odpowiadał: Jeszcze kawałek, kawałeczek tylko — i muskał siwe wąsy, uśmiechając się dobrodusznie, tak go bawiła nasza niecierpliwość.

Nareszcie przecie skończył się ten nieszczęliwy kawałek. Zjeżdżając z małego pagórka — ujrzeliśmy dopiero tuż pod nami naszą kochaną Wolkę, i białe kominy domku naszych rodziców, i kościółek ocieniony lipami, i szkółkę pod laskiem — gdzieśmy piewsze nauki pobierali.

Serce uderzyło gwałtowniej w piersi, zdawało nam się, że nas poznała i radośnie wita stara wysoka gruszka Muszkatelka, cel niegdyś naszych wycieczek, i kamienny krzyż za nią, którymy tyle razy wieńczyli bławatkami, i wszystkie topole alei, i brama przed dworkiem naszych rodziców — szeroko rozwarta, i jakby do nas wyciągająca ramiona.

W domu zastaliśmy stryjaszka, któregośmy dotąd nie znali, mieszkał bowiem zazwyczaj w Krakowie — jako pełnomocnik pana Dzieduszyckiego — a raczej nie mieszkał i tam stale, trudniąc się bowiem sprzedażą zboża, drzewa i wełny, jeździł ciągle, to do Wrocławia, to do Królewca i Gdańska, a domem jego właściwym był wóz kolejowy, albo wiślana berlinka. Ojciec nasz właśnie nadszedł z pola, gdy matka nasza kochana — poprawiwszy nasze zmięte kołnierze od koszuli — i zaczesawszy włosy rozmierzwione — zastawiać nam kazała — to śmietanę, to kawę, to schowane z obiadu mięso — pytając czyśmy niegłodni — i Helunię ciągle wysyłając po nowe przysmaki do spiżarni.

Na widok wchodzącego ojca porwaliśmy się od stołu i poczęli ściskać jego ręce i kolana — a on każdego pocałowawszy w czoło zaraz zapytał o zaświadczenia — które obecnie spoczywały spokojnie na stole, bo matka nasza — oglądnąwszy je — nie rozumiejąc po niemiecku — nie przeczytała takowych. Ojciec obejrzał, pogładził wąsy i odezwał się do nas, z pokorą wyroku czekających: Dobrze to wszystko — widać, żeście obydwa pilnie się uczyli — kiedy tu stoi napisano: erste Klasse mit Vorzug, — ale coż z tego — kiedy jak widzę, że świadectwa nie uczą was — ani historyi ojczystej — ani geografii Polski — ani literatury; poczekajcie — jutro was tam będę egzaminować. W tem nadbiegła Helunia — niosąc na talerzu świeżą bułeczkę, a ojciec zatrzymując ją — kazał jej zaraz deklamować początkowy ustęp z pieśni o „Ziemi

naszej.“ Posłuszna Helunia zarumieniwszy się cała, że przed nami premiantami występować musi z swą wiedzą, zrazu nieśmiało — tak poczęła:

„A czy znasz ty, bracie młody,
Te pokrewne twoje rody,
Tych Górali i Litwinów,
I Żmudź świętą i Rusinów?
A czy znasz ty, bracie młody,
Twoje ziemie twoje wody,
Z czego słyną, kędy giną,
W jakim kraju i dunaju?

A czy znasz ty, bracie młody,
Twojej ziemi bujne płody,
Twe kurhany i mogiły,
I twe dzieje, co się śmiły?
A czy wiesz ty, co w nich leży?...
O nie zawsze, o nie wszędzie,
Młody Orle, tak ci będzie,
Jako dzisiaj przy macierzy!

Pospuszczaliśmy oczy ze wstydu — bo serce nasze powiedziało nam od razu, że Helunia chociaż młodsza — i nie premiantka — daleko więcej od nas umie, — gdyż o tem ani słówka w szkole nigdyśmy nie słyszeli. — Z pokorą wyznaliśmy więc przed ojcem nasze nieuctwo — a ojciec zaraz zapowiedział, że po kilku dniach co dzień po dwie godziny będzie nas sam uczył historyi i jeografii Ojczystej.

Wśród uciechy powrotu do domu rodzinnego przeleciało nam cztery dni błyskawicą. Stryjaszek pokochał nas bardzo i rozmawiał z nami często o swoich podróżach, a opowiadania jego były tak zajmujące, że się nam nieraz śniły w nocy i stary Kraków i Wisła, i Gdańsk i Warszawa, i każdy z nas ślubował sobie najuroczyściej, że skoro dorośnie, odwidzi wszystkie te miejsca, o których Stryjaszek takie piękne opowiadał rzeczy. — Czwartego dnia zaczął się Stryjaszek wybierać. Trudno nam się było z nim rostać, łzy się nam kręciły w oczach, ale nie tylko nam było markotno, i poczciwemu Stryjaszkowi przykro było nas porzucić.

— Ot wiesz co, Michale — rzekł on do naszego ojca — pozwól im jechać ze mną do Gdańska. Naukom ich to nie przeszkodzi; mają teraz wakacye, zamiast co ich będziesz uczyć w domu jeografii polskiej — to ze mną jadąc Wisełką poznają cały szmat kraju naszego. Nie będzie to dla nich bez korzyści.

Ojciec opierał się trochę temu, nie chcąc Stryja obarczać opieką nad nami, a szczególniej matce jakoś trudno było nas pożegnać, i Helunia płakała w kąciku, lecz w końcu przystali rodzice na prośby Stryjaszka, a my ciesząc się nadzieją poznania tych wszystkich pięknych rzeczy, o których nam opowiadał Stryjaszek, wesoło jęliśmy się przygotowywać do podróży, jakkolwiek przykro nam było już po czterech dniach opuścić rodziców i płaczącą za nami ciągle kochaną Helunię, której obiecaliśmy przywieźć z Gdańska i Warszawy prześliczne lalki, i dużo bardzo włóczki kolorowej i paciorków i różnych innych rzeczy.— O świcie dnia następnego wyjechaliśmy z domu po wysłuchaniu mszy świętej i po uroczystem błogosławieństwie rodziców — nie budząc Heluni z obawy, żeby bardzo nie płakała.— Po dwóch dniach podróży przybyliśmy do Krakowa i zaraz poprowadził nas Stryjaszek do Wisły — takeśmy pragnęli oglądać tę rzekę naszą ojczystą, po której mieliśmy płynąć daleko bardzo, bo aż do Gdańska.— Opowiedział nam też Stryjaszek, że Wisła wypływa z gór karpackich w sąsiednim kraju na Szląsku, gdzie również mieszkają Polacy — którzy tak jak my kochają Wisłę, — że góra ta, z pod której Wisła wypływa, zowie się górą „Baranią“ — dlatego, że na jej bujnych pastwiskach bardzo dużo owiec i baranów się pasie,— że siedem aż źródeł wytryska z pod tej góry i te wszystkie dopiero we wsi także Wisłą zwanej — łączą się w jedną rzeczkę, która płynąc co raz bliżej ku Polsce — łączy się z innemi rzekami, jak Przemszą, Przekopem, Chełchłą, Regulcem, Rudawą z lewego brzegu, a Białą, Solą i Skawą z prawego brzegu,— i że już w okolicy Krakowa tyle ma wody, że płynąć po niej mogą tratwy mniejsze ładowane zbożem i drzewem, a po za Krakowem nawet większe tratwy berlinkami zwane. — Otóż na takiej berlince i my płynąć będziemy — dodał Stryjaszek — lecz nim to nastąpi, upłynie jeszcze kilka dni, a tymczasem mój przyjaciel, ksiądz wikary od Panny Maryi — oprowadzi was po Krakowie.— Tą obietnicą ucieszyliśmy się niezmiernie, w niecierpliwem oczekiwaniu dnia przyszłego, i powiedziawszy Stryjowi „dobranoc“ i zmówiwszy paciorek — pokładliśmy się spać.

(C. d. n.)

Opowiadanie z życia studenckiego.

„Co robisz, Kaziu?“ — zapytałem dziesięciuletniego chłopczyka, ucznia pierwszej klasy gimnazyalnej, który pochylony nad pudełkiem zdawał się mocno czemś zajęty. „Ach panie! — odpowiedział nie odwracając się — nie mogę w żaden sposób zabić tego chrząszcza. Dusiłem go w dymie siarki, topiłem w spirytusie, przebiłem szpilką jeszcze rano, on przecież żyje.“ Tu pokazał mi dużego czarnego chrząszcza, zwanego „nosorożcem“ dla rożka wyrastającego mu na głowie. Chrząszcz był przebity szpilką pomiędzy skrzydłami na wskróś; — daremnie skrzydła swoje chciał rozwinąć do lotu, daremnie nóżkami obejmując szpilkę zdawał się starać wydrzeć z wnętrzności to żelazo. Rana była śmiertelna, lecz widocznem było, że biedne stworzenie jeszcze długo męczyć się będzie. Kurczowe ruchy nóżek i konwulsyjne wznoszenie skrzydeł nie ustawały. Spojrzałem na oczy owadu, drobne jak ziarnka maku; błyszczały one, i zdawało mi się, jakby świecił w nich wyraz strasznej boleści. Spojrzałem dalej w pudełko. Był to istny cmentarz. Nabite na szpilki sterczały trupy różnych owadów. Pracowita pszczoła, mająca jeszcze na nóżkach resztki kwiatowego pyłu, nie powróciła do ula, aby dokończyć zaczętą komórkę, którą miała wypełnić słodkim miodem, ulubionym przysmakiem dzieci; Kazio, jak mi powiedział, chwycił tę pszczołę wczoraj na łące, i zamordował. Różnobarwne motyle roztaczały swoje skrzydła, lecz tęczowe ich kolory przybladły, jakby je pokrył cień śmierci; ostatnie śmiertelne drgania w wielu miejscach starły świetną powłokę. Lotne nimfy wodne także były na tym cmentarzu owadów; wypukłe ich oczy, mieniące się, gdy żyją, tysiącem blasków, teraz zdawały się okrytemi szarą mgłą. Było tam wiele innych owadów, przeróżnych co do kształtu i wielkości: ćmy nocne, pływaki wodne, muchy, chrząszcze, pająki i mrówki. Wszystkie zamordowane szpilkami zapełniały owo pudełko; krótkie ich życie przerwała śmierć z ręki tego chłopca; — widziałem także zabitą „efemerydę“ — po polsku: jedniodniówkę — muszkę maleńką, białą, podobną do komara, lecz z szerszemi, białemi jak śnieg skrzydełkami. Muszki te żyją bardzo krótko, czasem tylko godzin kilka; między rankiem a wieczorem zamknięty cały ich żywot — odwidzą parę drzew, wypiją sok z kilku kwiatów wonnych, skąpią skrzydła w słonecznem świetle, i już umierają. Ta jednodniówka, którą widziałem w pudełku Kazia, może dopiero żyła kilka minut; czemuż jej Kazio pozazdrościł chwil niewielu, jakie jej przeznaczone były na świecie — czemu zamiast w zieleni murawy, czy w cieniu różanego listka, kazał jej skonać w męczarniach w pośród trupów?!

Spojrzałem na chłopczyka — stał on zadziwiony tem, że tak długo wpatrywałem się w jego zbiór. Po chwili znowu czarne oczy zwrócił na owego jeszcze żywego nosorożca, i zapytał:

„Może mi pan doradzi, jak go zabić, bo się boję, żeby mi nie uciekł.“ A gdy mu nic nie odpowiedziałem, mówił dalej: „Ten szerszeń, którego pan tu widzi, jest złapany przedwczoraj. Przyniosłem go w siatce i nabiłem na szpilkę, złościł się i wysuwał swoje żądło, tak iż się bałem. Zawołałem więc Manię na pomoc. Prosiłem jej, aby nożyczkami ucięła szerszeniowi język. Lecz głupia dziewczyna widząc tego robaka nazwała mnie okrutnikiem i z płaczem pobiegła do mamy; Adaś znowu, ten mały sztubak, prosił mnie i zaklinał, abym puścił szerszenia, i powiedział, że muszę mieć moskiewskie serce, jeżeli mogę tak męczyć biedne stworzenie. Ja na to nic nie uważałem, wziąłem nożyczki — i śmiało uciąłem język szerszeniowi. Po dwóch godzinach już nie żył.“

Kazio mówił z takim spokojem i pewnością, jak zwykle siostra jego, ośmioletnia Mania, opowiada o swoich kwiatkach i lalkach, lub jak sześcioletni Adaś opowiada o swoich wróblach, co w zimie były bardzo biedne i głodne, i żywiły się okruszynami chleba, które on rzucał im na ganku, a teraz już usłały gniazdko i wesoło świergocą.

„Słuchaj, Kaziu -- rzekłem — postępujesz sobie prawdziwie po moskiewsku. Męczysz biedne stworzenia, którym życia niewiele dała natura — męczysz je nie dla pożytku nauki, ale dla rozrywki, dla wypełnienia zbioru, który w twoim wieku nie może ci być prawdziwą pomocą w nauce. Trzeba ci bowiem wiedzieć, że ilość rodzajów owadów jest niezliczoną, a samych chrząszczów w naszym kraju liczą do pięć tysięcy. Ty bierzesz tylko cząstkę drobną, zabijasz najchętniej te, które są najładniejsze, często jednak nawet ich nazwiska się nie dowiesz. Te zaś kilkadziesiąt nazwisk, które zapamiętasz przez rok, znowu wnet zapomnisz i nic na tem nie stracisz. Poznanie przyrody nie polega na zabijaniu i ustawianiu chrząszczów. Oglądaj pszczołę w ulu, badaj mrówkę w mrówisku, przypatrz się nimfie wodnej na kwiecie, patrzaj jak z brzydkiej

gąsienicy świetny motyl się rozwija. Staraj się poznać życie zwierząt, sposób budowy ich pomieszkań, sposób zbierania pokarmu; badaj przeobrażenia różnych postaci — a jeżeli ci się wydaje to zanadto trudnem, to odłóż gruntowne poznanie natury na lata poźniejsze, ale nie myśl bynajmniej, że zabijając jasne robaczki i trójbarwne motyle *uczysz się;* ty się bawisz tylko, bawisz zbieraniem osobliwości i okrucieństwem".

„Cóż to za okrucieństwo — odezwał się Kazio mocno zarumieniony — przecież to tylko robaki?"

„Zabicie słabego, niemego stworzenia, czyliż ma być obojętnem dlatego, że stworzenie oporu stawić i przemówić nie może? Któż ci dał prawo odbierać im życie dlatego, aby trupami zapełnić swoje pudełko?.... Pastwienie się nad słabemi jest cechą złych ludzi. Powiem ci przykład pouczający.

„W sześćdziesiąt lat po narodzeniu Chrystusa panował w Rzymie cesarz Nero. Wiadomo ci, że prześladował chrześcijan, i wymyślał na nich okrutne męczarnie: kazał okręcać ich konopiami, oblewać smołą, i zapalać, aby płonęli jak świeczniki żywe obok pałaców jego i konali powolną śmiercią. Innych topił w morzu, innych na krzyż wbijał; — zwierzętom dzikim rzucał tych nieszczęsnych na pożarcie i przyglądał się z wysokiego tronu, jak lwy i tygrysy rozszarpywały ich i pasły się krwawemi trupami. — Cesarz ten zamordował z kolei wszystkich swoich przyjaciół, rodzinę całą i matkę własną — i rozkazał podpalić Rzym, aby mieć miejsce na pałac nowy, w skutek czego tysiące ludzi znalazło śmierć w płomieniach i gorejących zwaliskach miasta.

„A wiesz, Kaziu — zapytałem po chwili chłopca słuchającego z uwagą — czem bawił się cesarz Nero w chwilach samotnych? Unikał on ludzi i zamykał się w komnatach pałacu, i straży rozkazał, aby nikogo nie wpuszczała, bo lękał się zemsty i kary zbrodni swoich. A będąc sam chwytał muchy, męczył je, obrywając skrzydła i nóżki, i zabijał powolną śmiercią. Dworzanie pamiętali wpuszczać zawsze nową ilość much na pastwę cesarskiego okrucieństwa. Zwyczaj ten Nerona był tak znanym, że gdy raz długo nie ukazywał się dworzanom, a jeden z nich zapytał półgłosem, czy kto jest u cesarza — odpowiedział drugi: „Niemasz nikogo — nawet much niema." — Zwyczaj zabijania much i robaków olubionym był Neronowi od lat młodych. Dopóki nie miał siły — tylko muchy zabijał, — skoro cesarzem został — ludzi mordował dla rozrywki."

BĄCZYK

KOMEDYA PACHOLĘCA W DWÓCH AKTACH

z czasów Kościuszkowskich

przez

Apolla Nałęcza Korzeniowskiego.

AKT II.

Scena druga.

Ciż sami. **Antoś, Funia, Marcelek.**

WSZYSTKIE DZIECI.

Antosiu! Funiu! Jacy my szczęśliwi! Jak my was kochamy!

ANTOŚ. (biorąc za rękę Marcelka.)

Pokochajcież i jego; bo to nowy nasz przyjaciel.

KAROLEK.

A! to i jego będziemy kochać — im więcej, tem lepiej. Ale najwięcej was — poczciwych.

FUNIA.

Nie nasza to zasługa, żeśmy tacy; bo i Bóg nas stworzył i poczciwi rodzice nauczyli być takimi... A on — sam się domyślił, że źle zrobił, sam pożałował i sam przyszedł do nas z wielkim wstydem.

WSZYSTKIE DZIECI.

A cóż on zrobił?

FUNIA.

A jeżeli nie wiecie, to i wiadomość ta wam niepotrzebna, Wiedźcie tylko, że to nasz przyjaciel i kochajcie go, jak nas kochacie.

MARCELEK.

Ja nie chcę mieć przwiązania darmo — nie chcę nikogo oszukiwać. Źle zrobiłem — myślałem, że wszyscy mi dogadzać, że wszyscy służyć mi powinni. Przebaczcie mi to — bo dosyć sam już się wypłakałem!... Nikt nie widział mego wstydu, gdy opowiadano u moich rodziców, opowiadano ze łzami w oczach historyę Antosia i jego biczyka. A ten to biczyk ja odrzuciłem dla dogodzenia gniewowi niesłusznemu. Ja odrzuciłem ten biczek, który przywiązanie do matki pletło, który wytrwała praca uświęciła a poczciwy uczynek opłatą mu być miał!... Odrzuciłem— a ci, co opowiadali tę historyę, nie wiedzieli mego nazwiska — lecz Bóg je wiedział. Bóg mój żal zobaczył i myśl mi dobrą zesłał. Przyszedłem do rodziców Antosia, przeprosiłem ich, a wiem, że i Bóg mi przebaczył; bo oni mi pobłogosławili, a błogosławieństwo ich to przebaczenie Boże!... Teraz przy was wszystkich przepraszam Antosia i Funię, przepraszam was i wszystkie polskie dzieci, którym złemi być nie wolno.

WSZYSCY.

Przebaczamy, przebaczamy — kochamy! kochamy!

MARCELEK.

No, to pozwólcie mi pozostać między wami i podzielić się szczęściem dzieci tych ojców, którzy za nas wszystkich walczyli.

KAROLEK.

Zuch chłopiec! Pięknie mówi.

TOMASZEK.

A ty zaraz myślisz, że z twego cechu, że on także syn zecera.

KAROLEK.

A, po trochę. Bo co ojcowie zecerowie układają, to on czyta; więc trochę jest ich dzieckiem.

MARCELEK.

Ich dzieckiem trochę — ale waszym bratem zupełnie.

FUNIA.

Radość więc i szczęście, i zgoda!... Tatko powiada, że gdyśmy śmiecie nieprzyjacielskie z Warszawy wymietli, to i zabawić się godzi. — A! otoż i muzyka!

(wchodzi muzyka i jeszcze kilkoro dzieci płci obojej.)

Ot i reszta towarzyszy. — Zapraszam do tańca!

TADZIO (do muzyki).

A no, grajcie, grajki! A tylko od ucha, jak mówi dziadunio, kiedy się weseli.

(Muzyka gra krakowiaka. Funia z Marcelkiem w pierwszej parze; inne dzieci parami za niemi zaczynają tańczyć. — Zasłona spada.)

KONIEC.

Pisano w Nieruczku na Podolu 21. Stycznia 1858 r.

☛ Prenumerata całoroczna w państwie austryackiem 3 złr. - półroczna 1 złr. 5 ct. — ćwierćroczna 75 ct. a. w. — W Prusiech 2 talary 16 gr. śr. całorocznie — półrocznie 1 talar 8 gr. śr.

☛ Uprasza się uprzejmie tych panów prenumeratorów, którzy dotąd za pierwsze półrocze prenumeraty nie złożyli, o spieszne nadsyłanie takowej.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **Aleksander Kisielewski.** Z drukarni Dr. **H. Jasieńskiego.**